

Atticus miał więc czterdzieści osiem lat, gdy został wdowcem z dwojgiem małych dzieci i murzyńską kucharką imieniem Calpurnia. Należy wątpić, by kiedykolwiek szukał sensu tego, co go spotkało. Starał się po prostu wychować potomstwo najlepiej, jak umiał. I odniósł sukces, jeśli jego miarą może być uczucie, którym obdarzyły go dzieci. Nigdy nie był zbyt zmęczony, by pograć z nimi w głupiego Jasia; nigdy zbyt zajęty, by wymyślać fantastyczne historie; nigdy zbyt pochłonięty własnymi sprawami, by z uwagą wysłuchać relacji czy skargi. Ponadto każdego wieczora czytał im na głos aż do zachrypnięcia.

Czyniąc to, Atticus upiekł kilka pieczeni na jednym ogniu, choć prawdopodobnie srodze rozczarowałby psychologa dziecięcego swą metodą. Czytał bowiem Jemowi i Jean Louise to, co akurat było i jego lekturą, sącząc w ich głowy wiedzę zgoła osobliwą. Dzieci ząbkowały, chłonąc tajniki historii wojskowości, treść nowych ustaw, *Zagadki detektywistyczne*, *Kodeks Alabamy*, Biblię oraz *Złoty skarbiec* Palgrave'a, antologię angielskiej poezji.

Dokądkolwiek się udawał, zwykle zabierał ze sobą Jema i Jean Louise. Byli z nim w Montgomery podczas letnich sesji stanowego parlamentu, na meczach futbolu amerykańskiego, na kongresach politycznych, w kościele, a także w biurze, gdy musiał popracować do nocy. Po zachodzie słońca rzadko widywano Atticusa w miejscach publicznych bez dzieci.

Jean Louise nie znała matki, nie wiedziała nawet, czym tak naprawdę jest matka, lecz mimo to rzadko jej potrzebowała. Odkąd sięgała pamięcią, nigdy nie została źle zrozumiana przez ojca, nigdy też nie potraktował jej niegrzecznie – poza tym jednym przypadkiem, gdy miała lat jedenaście. Był to pamiętny dzień, w którym wróciła ze szkoły na obiad i odkryła, że właśnie zaczęła krwawić.

Pomyślała naturalnie, że umiera, i zaczęła krzyczeć wniebogłosy. Calpurnia, Atticus i Jem przybiegli do niej natychmiast. Gdy Atticus oraz Jem zrozumieli, co się stało, mogli jedynie spojrzeć bezradnie na Calpurnię i zostawić sprawę w jej rękach.

Aż do tej chwili Jean Louise jakoś nie była świadoma, że jest dziewczynką. Żyła aktywnie i nieostrożnie, wdając się w bijatyki, grając w piłkę, wspinając się na drzewa, zawsze i wszędzie dotrzymując kroku starszemu Jemowi oraz nieodmiennie górując nad rówieśnikami we wszystkim, co wymagało sprawności fizycznej.

Gdy wreszcie uspokoiła się na tyle, by wysłuchać Calpurnii, szybko dotarło do niej, jak okrutnie zadrwił z niej los: oto musiała wkroczyć do kobiecego świata, którym szczerze gardziła, którego nie pojmowała, i przed którym nie umiała się bronić – do świata, który w dodatku wcale jej nie chciał.

Jem porzucił ją, gdy miał szesnaście lat. Zaczął na moko zaczesywać włosy do tyłu i umawiać się z dziewczynami.

Wtedy, gdy jedynym przyjacielem Jean Louise został Atticus, na stare śmieci powrócił doktor Finch.

Dwaj starzejący się mężczyźni przeprowadzili ją pospółku przez najbardziej samotne i najtrudniejsze godziny, przez chaos oraz koszmary towarzyszące przemianie z rozbrykanej chłopczycy w młodą kobietę. Atticus wyjął z rąk dziewczynny wiatrówkę i wręczył kij golfowy, zaś doktor Finch uczył ją... Doktor Finch uczył ją tego, co sam uważał za ciekawe. Bez przekonania i tylko na użytek świata uczestniczyła w grze pozorów: w stopniu dostatecznym opanowała skomplikowane zasady, którymi powinna się kierować dorastająca dziewczyna z dobrej rodziny; zdołała wykształcić w sobie coś w rodzaju półzainteresowania ubraniami, chłopcami, fryzurami, plotkami i kobiecymi aspiracjami. Zmieniła się, lecz nigdy nie czuła się pewnie z dala od bezpiecznej przystani – od ludzi, w których miłość wierzyła bezwarunkowo.

Atticus posłał ją do college'u dla kobiet w Georgii, a gdy skończyła naukę, orzekł, że już najwyższy czas, by zaczęła radzić sobie samodzielnie – może na przykład w Nowym Jorku? Poczowała się wtedy lekko urażona, jakby wyrzucono ją z domu, ale po latach doceniła prawdziwą wartość ojcowskiej mądrości. Atticus się starzał i pragnął odejść w błogiej świadomości, że jego córka poradzi sobie w życiu.

W istocie przecież ani na chwilę nie została sama, zawsze towarzyszyła jej najpotężniejsza z moralnych sił kształtujących jej życie – miłość ojca. Jean Louise nigdy jej nie

kwestionowała, nigdy o niej nie myślała, nigdy nawet nie zdawała sobie sprawy, że za każdym razem, gdy musi podjąć decyzję, odruchowo i podświadomie zadaje sobie pytanie: „A co by zrobił Atticus?”. Nie była świadoma również tego, że zawsze, gdy się okopywała, by bronić swoich przekonań, to w jego imieniu; że cokolwiek było w jej charakterze porządnego, godnego szacunku, to dzięki niemu. Nie zastanawiała się nawet nad tym, że zwyczajnie uwielbia swego ojca.

Wiedziała jedynie, że współczuje wszystkim rówieśnikom buntującym się przeciwko rodzicom, rzekomo niedającym im tego czy tamtego, rzekomo czegoś im zabraniającym. Żal jej było także owych matron w średnim wieku, odkrywających po długich analizach, że same są źródłem swoich niepokojów; litowała się nad każdym, kto swego ojca nazywał „starym”, sugerując, że to jakiś ordynus, a może i pijaczyna, który okrutnie, niewybaczalnie wręcz zawiódł swoje potomstwo.

Innymi słowy, szafowała współczuciem, bezpieczna w swym małym, przytulnym świecie.